Stanisław Lem

Bajka o królu Murdasie

 Po dobrym królu Heliksandrze wstąpił na tron jego syn, Murdas. Wszyscy się tym zmartwili, bo był ambitny i strachliwy. Postanowił sobie zasłużyć na przydomek Wielkiego, a bał się przeciągów, duchów, wosku, bo na wywoskowanej posadzce można nogę złamać, krewnych, że w rządzeniu przeszkadzają, a najwięcej przepowiedni. Kiedy został koronowany, zaraz kazał w całym państwie zamknąć drzwi i nie otwierać okien, zniszczyć wszystkie szafy wróżące, a wynalazcy takiej maszyny, która usuwała duchy, dał order i pensję. Maszyna rzeczywiście była dobra, bo ducha nigdy nie zobaczył. Nie wychodził też do ogrodu, żeby go nie zawiało, i spacerował tylko po zamku, który był bardzo wielki. Pewnego razu, chodząc po korytarzach i amfiladach, zawędrował do starej części pałacu, dokąd nigdy jeszcze nie zaglądał, Najpierw odkrył salę, w której stała gwardia przyboczna jego prapradziadka, cała nakręcana, jeszcze z czasów, kiedy nie znano elektryczności. W drugiej sali ujrzał rycerzy parowych, też zardzewiałych, ale nie było to dlań nic ciekawego, i już chciał wracać, gdy zauważył małe drzwiczki z napisem: „Nie wchodzić”. Pokrywała je gruba warstwa kurzu i nawet by ich nie dotknął, gdyby nie ten napis. Bardzo go oburzył. Jak to - jemu, królowi, ośmielają się czegoś zabraniać? Nie bez trudu odemknął skrzypiące drzwi i po krętych schodkach dostał się do opuszczonej baszty. Stała tam bardzo stara szafa miedziana z rubinowymi oczkami, kluczykiem i klapką. Zrozumiał, że to szafa wróżąca, i rozgniewał się znowu, że wbrew jego rozkazowi pozostawiono ją w pałacu, aż tu przyszło mu do głowy, że raz jeden można przecież spróbować, jak to jest, kiedy szafa wróży. Podszedł więc do niej na palcach, pokręcił kluczykiem, a gdy nic się nie stało, postukał w klapkę. Szafa westchnęła chrapliwie, mechanizm zazgrzytał i spojrzał na króla rubinowym oczkiem, jakby zezując. Przypomniało mu to kose spojrzenie stryja Cenandra, ojcowego brata, który dawniej był jego preceptorem. Pomyślał, że to stryj kazał pewno ustawić tę szafę, jemu na złość, bo inaczej dlaczego by zezowała? Dziwnie zrobiło mu się na duszy, a szafa, jąkając się, powolutku zagrała ponurą melodyjkę, jakby ktoś łopatą obstukiwał żelazny nagrobek, i przez klapkę wypadła czarna kartka z żółtymi jak kość rządkami pisma.

 Król przeląkł się na dobre, lecz nie potrafił już opanować ciekawości. Porwał kartkę i pobiegł do swych apartamentów. Kiedy został sam, wyjął ją z kieszeni. - Popatrzę, ale tylko jednym okiem dla pewności - zadecydował i uczynił to. Na kartce było napisane:

Wybiła godzina - ścina się rodzina,

Brat brata lub ciotkę, a kuzyn kuzyna.

Bulgoce saganek- dochodzi bratanek,

Żre podagra szwagra, kat mu zaraz zagra.

Pociotek przez płotek, wujny, stryjny rojne

Idą już na wojnę, oj, będzie łoskotek.

Idzie wnuczę, idzie teść, ja cię uczę, jak ich grześć:

Lewą tnij, prawą kłuj, bo tu stryj, a tam wuj,

Niech ojczyma kto przytrzyma, w łeb pasierba, będzie szczerba.

Leży zięć, grobów pięć, pada teść, mogił sześć,

Stryk dziadowi, stryk babusi, stryk stryjkowi, tak być musi,

Bo krewni, choć rzewni, tylko w ziemi pewni.

Wybiła godzina - gadzina rodzina,

Na kogo wypadnie, na tego się wspina.

Pochowaj go ładnie, sam się ukryj wszędzie,

Nie schowasz się wcześnie - pochowają we śnie.

Tak się przestraszył król Murdas, że aż mu w oczach pociemniało. Rozpaczał nad lekkomyślnością, wskutek której nakręcił wróżącą szafę. Było jednak za późno na żale, wiedział, że musi działać, by nie przyszło do najgorszego. Ani wątpił w sens proroctwa: jak dawno już podejrzewał, zagrażali mu najbliżsi krewni.

Prawdę mówiąc, nie wiadomo, czy wszystko odbyło się dokładnie tak, jak opowiadamy. W każdym razie doszło potem do wypadków smutnych, a nawet okropnych. Król kazał ściąć całą rodzinę, jeden tylko jedyny stryj jego, Cenander, uciekł w ostatniej chwili, przebrawszy się za pianolę. Nic mu to nie pomogło, został wnet schwytany i oddał głowę pod topór. Tym razem Murdas mógł podpisać wyrok z czystym sumieniem, bo stryja chwycono, kiedy brał się do spiskowania przeciwko monarsze.

Osierocony tak gwałtownie, król przywdział żałobę. Na duszy było mu już lżej, choć i smutno, bo w gruncie rzeczy nie był zły ani okrutny. Niedługo trwała pogodna żałoba królewska, przyszło bowiem Murdasowi na myśl, że może ma jakichś krewnych, o których nic nie wie. Każdy z poddanych mógł być jakimś dalekim jego pociotkiem; przez pewien czas ścinał więc tego lub owego, ale to go wcale nie uspokajało, bo nie można przecież być królem bez poddanych, a jak tu zgładzić wszystkich? Taki się zrobił podejrzliwy, że kazał się przynitować do tronu, aby go nikt zeń nie strącił, sypiał w pancernej szlafmycy i wciąż tylko myślał, co począć. Nareszcie uczynił rzecz niezwykłą, tak niezwykłą, że sam na nią chyba nie wpadł. Podobno podszepnął mu ją wędrowny przekupień, przebrany za mędrca, albo też mędrzec, przebrany za przekupnia - rozmaicie o tym mówiono. Mówią, że służba zamkowa widywała zamaskowaną postać, którą król nocą wpuszczał do swych apartamentów. Dość na tym, że Murdas wezwał pewnego dnia wszystkich nadwornych budowniczych, mistrzów elektrycerskich, nastrojczych i podblaszych, i oświadczył im, że mają powiększyć jego osobę, a to tak, by przekroczyła wszystkie horyzonty. Rozkazy te spełniono z zadziwiającą szybkością, gdyż dyrektorem biura projektów mianował król zasłużonego kata. Szeregi elektrykarzy i budowniczych jęły wnosić do zamku druty i szpule, a gdy rozbudowany król wypełnił swoją osobą cały pałac, tak że był jednocześnie z frontu, w piwnicach i oficynie, przyszła kolej na stojące w pobliżu domostwa. Po dwóch latach rozprzestrzenił się Murdas na śródmieście. Domy nie dość okazałe, a więc niegodne tego, by zamieszkała w nich myśl monarsza, równano z ziemią i na ich miejscu wznoszono pałace elektronowe, zwane wzmacniaczami Murdasa. Król rozrastał się z wolna a nieustannie, wielopiętrowy, dokładnie połączony, potęgowany podstacjami personalistycznymi, aż stał się całym miastem stołecznym i nie zatrzymał się na jego granicach. Humor mu się poprawił. Krewnych nie było, oleju ani cugów już się nie bał, bo nie potrzebował i kroku postąpić, skoro był wszędzie naraz. - Państwo to ja - powiadał nie bez kozery, gdyż oprócz niego, zaludniającego rzędami elektrycznych budowli place i aleje, nikt już nie mieszkał w stolicy; oprócz, rzecz jasna, odkurzycieli królewskich i przybocznych ścieraczy prochów; czuwali oni nad królewskim myśleniem, które płynęło z gmachu do gmachu. Tak krążyło milami po całym mieście zadowolenie króla Murdasa, że udało mu się zyskać wielkość doczesną i dosłowną, a nadto schować się wszędzie, jak nakazywała wróżba, bo był wszak wszechobecny w całym państwie. Szczególnie malowniczo przedstawiało się to o zmierzchu, kiedy król­-olbrzym, jaśniejąc łuną, mrugał światłami-rozmyślaniami, a potem z wolna gasł, zapadając w zasłużony sen. Lecz ta ciemność bezpamięci pierwszych nocnych godzin ustępowała potem miejsca rozpalającemu się to tu, to tam błędnemu migotaniu chwiejnie polatujących rozbłysków. To zaczynały się wyrajać sny monarsze. Burzliwymi lawinami zwidów przepływały przez gmachy, aż w mroku zapalały się ich okna i całe ulice łyskały ku sobie na przemian światłem czerwonym i fioletowym, a przyboczni odkurzyciele, krocząc po pustych chodnikach, czując swąd rozgrzanych kabli Jego Królewskiej Mości i zaglądając chyłkiem do okien, w których się błyskało, po cichu mówili do siebie:

- Oho! Pewno jakiś koszmar trapi Murdasa - oby się tylko na nas nie skrupił!

Pewnej nocy, po dniu szczególnie pracowitym - król obmyślał bowiem nowe rodzaje orderów, jakimi zamierzał siebie odznaczyć - przyśniło mu się, że jego stryj, Cenander, zakradł się do stolicy, korzystając z ciemności, okryty czarną opończą, i krąży ulicami w poszukiwaniu popleczników, aby zawiązać aby ohydny spisek. Z piwnic wyłaziły szeregi zamaskowanych, a było ich tylu i taką przejawiali żądzę królobójstwa, że Murdas zadrżał i przebudził się z wielkiego strachu. Świt już nadchodził i słonko złociło białe obłoczki na niebie, więc powiedział sobie: - Sen - mara! - i zabrał się do dalszego projektowania orderów, a te, które wymyślił poprzedniego dnia, wieszano mu na tarasach i balkonach. Gdy jednak po całodziennym mozole znów ułożył się na spoczynek, ledwo zadrzemawszy, ujrzał królobójczy spisek w pełnym rozkwicie. A doszło do tego tak: kiedy Murdas przebudził się ze spiskującego snu, uczynił to niecały; śródmieście, w którym ulągł się ów antypaństwowy sen, wcale się nie ocknęło, lecz nadal spoczywało w jego koszmarnych uściskach, a tylko król na jawie nic o tym nie wiedział. Tymczasem spora część jego osoby, a mianowicie stare centrum miejskie, nie zdając sobie sprawy z tego, że stryj-zbrodzień i jego machinacje to tylko majak i przywidzenie, nadal trwała w błędzie koszmaru. Tej drugiej nocy zobaczył Murdas we śnie, jak stryj krząta się gorączkowo, skrzykując krewnych. Jawili się wszyscy co do jednego, skrzypiąc pośmiertnie zawiasami, i nawet ci, którym brakowało najważniejszych części, podnosili miecze przeciw prawowitemu władcy! Ruch panował niezwykły. Gromady zamaskowanych skandowały szeptem buntownicze okrzyki, w lochach i piwnicach szyto już czarne chorągwie rokoszu, wszędzie warzono jady, ostrzono topory, gotowano druciki­-truciki i szykowano się do walnej rozprawy ze znienawidzonym Murdasem. Król przeraził się powtórnie, obudził się, drżąc cały, i chciał już wezwać Złotą Bramą Ust Królewskich wszystkie swe wojska na pomoc, by rozniosły buntowników na mieczach, ale się zaraz zreflektował, że to na nic. Wojsko nie wejdzie przecież w jego sen i nie będzie mogło rozgromić krzepnącego tam spisku. Jakiś czas próbował więc samym wysiłkiem woli przebudzić te cztery mile kwadratowe swego jestestwa, które uporczywie śniły o spisku, ale daremnie. Zresztą, prawdę mówiąc, nie wiedział: daremnie czy niedaremnie, bo kiedy czuwał, nie dostrzegał spisku, pojawiającego się dopiero, gdy morzył go sen.

Czuwając, nie miał zatem dostępu do zbuntowanych rejonów, i nic w tym dziwnego, jawa nie może bowiem wniknąć w głąb snu i wtargnąć tam potrafiłby tylko inny sen. Uznał król, że w takiej sytuacji najlepiej będzie zasnąć i wyśnić kontrsen, nie byle jaki, rozumie się, lecz monarchistyczny, oddany mu, z rozwianymi sztandarami, i takim snem koronnym, skupionym wokół tronu, zdoła dopiero w proch zetrzeć samozwańczy koszmar.

Wziął się Murdas do dzieła, ale nie mógł zasnąć ze strachu; zaczął tedy liczyć w duchu kamyczki, aż go to zmogło i zasnął. Okazało się wówczas, że sen ze stryjem na czele nie tylko obwarował się w centralnej dzielnicy, ale zaczyna sobie nawet roić arsenały, pełne potężnych bomb i min kruszących. On sam zaś, jakkolwiek się wysilał, zdołał wyśnić zaledwie jedną kompanię kawalerii, a i to spieszoną, niekarną i uzbrojoną jedynie w pokrywki od garnków.

- Nie ma rady - pomyślał - nie udało mi się, trzeba zaczynać wszystko jeszcze raz od nowa! – Wziął się więc do budzenia, ciężko mu to szło, wreszcie ocknął się na dobre i wtedy straszne go tknęło podejrzenie. Czy w samej rzeczy powrócił do jawy, czy też przebywa w innym śnie, który jest tylko fałszywym pozorem czuwania? Jak postąpić w tak pogmatwanej sytuacji? Śnić czy też nie śnić? Oto jest pytanie! Powiedzmy, że nie będzie teraz śnił, czując się bezpiecznym, bo przecież na jawie nie ma żadnego spisku. Nie byłoby to złe: wtedy tamten, królobójczy sen sam się sobie wyśni i dośni do końca, aż przez ostatnie ockniecie majestat odzyska należną jednolitość. Bardzo dobrze. Ale jeśli nie będzie śnił kontrsnów, mniemając, że przebywa sobie w zacisznej jawie, podczas kiedy ta rzekoma jawa naprawdę jest tylko innym snem, sąsiadującym z tamtym, stryjowatym, dojść może do katastrofy! W każdej bowiem chwili cała zgraja przeklętych królobójców, z obmierzłym Cenandrem na czele, może wedrzeć się z tamtego snu w ten sen, udający jawę, aby pozbawić go tronu i życia!

Zapewne - myślał - pozbawianie będzie się odbywało tylko we śnie, ale jeżeli spisek ogarnie całą moją królewską jaźń, jeśli się w niej rozpanoszy od gór po oceany, jeżeli, o zgrozo! - wcale nie będzie się już chciał nigdy więcej przebudzić, co wtedy?! Zostanę wówczas na zawsze odcięty od jawy, i stryj zrobi ze mną, co zechce. Bedzie torturował, znieważał, nie mówiąc już o ciotkach; pamiętam je dobrze - nie popuszczą, choćby tam nie wiem co. Już takie są, to znaczy - były, a właściwie - znów są w tym okropnym śnie! Zresztą, co też tu mówić o śnie! Sen jest tylko tam, gdzie istnieje także jawa, do której można powrócić, ale gdzie jej nie ma (a jakże wrócę, jeśli uda im się przytrzymać mnie we śnie?), gdzie nie ma nic oprócz snu, tam on już jest jedyną rzeczywistością, a więc jawa. Okropność! Wszystko, rozumie się, przez ten fatalny nadmiar osobowości, przez tę ekspansję duchową - potrzebaż mi było tego!

Zrozpaczony, widząc, że bezczynność gotowa go zgubić, jedyny ratunek dojrzał w natychmiastowej mobilizacji psychicznej. - Trzeba koniecznie postępować tak, jakbym śnił - rzekł sobie. - Muszę wyśnić tłumy poddanych, pełne miłości i entuzjazmu, hufce do końca mi wierne, ginące z mym imieniem na ustach, moc uzbrojenia, a warto by nawet wymyślić szybko jakąś cudowną broń, bo wszak we śnie wszystko możliwe: dajmy na to, środek do wywabiania krewnych, jakieś działa przeciwstryjowe lub coś w tym rodzaju - w ten sposób będę gotów na każdą niespodziankę i jeśli spisek się pojawi, chytrze a podstępnie przeczołgując się ze snu w sen, roztrzaskam go za jednym zamachem!

Westchnął król Murdas wszystkimi alejami i placami swego jestestwa, takie to było skomplikowane, i przystąpił do dzieła, to jest zasnął. Miały we śnie stanąć czworobokami stalowe hufce, z sędziwymi generałami na czele, i tłumy wiwatujące w huku surm i litaurów, ale pojawiła się tylko maleńka śrubka. Nic - tylko zupełnie zwyczajna śrubka, trochę brzeżkiem wyszczerbiona. Co z nią począć? Rozważał tak i owak, rósł w nim zarazem jakiś niepokój, coraz większy, i omdlałość, i strach, aż błysło mu: -To rym do "trupka''!!

Zadygotał cały. A zatem symbol upadku, rozkładu, śmierci, a więc zgraja krewnych niechybnie dąży już chyłkiem, milczkiem, podkopami, wydrążonymi w tamtym śnie, aby dostać się do tego snu - a on lada chwila runie w zdradziecką czeluść, przez sen pod snem wygrzebaną! Więc koniec zagraża! Śmierć! Zagłada! Ale skąd? Jak? Z której strony?!

Zabłysło dziesięć tysięcy osobistych gmachów, zatrzęsły się podstacje Majestatu, obwieszone orderami i przepasane wstęgami Wielkich Krzyży; odznaczenia te podzwaniały miarowo w nocnym wietrze, tak zmagał się król Murdas ze śnionym symbolem upadku. Wreszcie zmógł go, przesilił, aż ów sczezł tak dobrze, jakby go nigdy nie było. Bada król - gdzie jest? Na jawie czy w innych majakach? Jak gdyby na jawie, ale skąd wziąć pewność? Zresztą może być, że sen o stryju skończył się już śnić i wszelka troska jest zbędna. Ale znowuż: jak się o tym dowiedzieć? Nie ma innej rady, jak tylko snami-szpiegami, udającymi wywrotowców, przetrząsnąć trzeba i bez ustanku penetrować całą własną mocarstwową osobę, państwo swego jestestwa, i nigdy już król-duch nie zazna spokoju, gdyż zawsze na to będzie musiał być gotowy, że spisek śni się gdzieś w jakimś zatajonym kątku jego osobowości ogromnej! A więc dalej, nuże skrzepić wiernopoddańcze marzenia, wyśnić hołdownicze adresy i tłumne delegacje, jaśniejące duchem praworządności, atakować snami wszystkie wądoły, ciemności i rozłogi osobiste, aby się w nich żaden podstęp, żaden stryj nie mógł ukryć ani przez chwile! Jakoż owionął go miły sercu szum sztandarów, stryja ani śladu, krewnych też nie widać, otacza go sama tylko wierność, składa mu dziękczynienia i hołdy bezustanne; słychać łoskot nadtaczanych, w złocie bitych medali, iskry strzelają spod dłut, którymi artyści pomniki mu wykuwają, Rozweseliła się w królu dusza, bo już i hafty herbowe, i dywaniki w oknach, i armaty zrychtowane do salutu, a trębacze przykładają do ust spiżowe trąby. Kiedy jednak baczniej przyjrzał się wszystkiemu, dostrzegł, że coś jakby nie tak. Pomniki - owszem, ale jakoś mało podobne, w skrzywieniu oblicza, w kosym spojrzeniu coś stryjowego. Sztandary szumiące - racja, ale że wstążką maleńką, lecz niewyraźną, prawie czarną; jeśli nie czarna, to brudna, w każdym razie - brudnawa.

A to co znowu? Jakieś aluzje?!

Dlaboga! Przecież te dywaniki - wytarte, wprost łyse, a stryj - stryj był łysy ... Nie może to być! - Wstecz! Odwrót! Zbudzić się! Zbudzić!! - pomyślał. – Trąbić pobudkę, precz mi z tego snu! - chciał wrzasnąć, lecz kiedy wszystko znikło, nie stało się lepiej. Zwalił się ze snu w sen, nowy, śniący się poprzedniemu, a tamten się wcześniejszemu przytrafił, więc ten obecny był już do trzeciej niejako potęgi; wszystko w nim obracało się, jawnie już, w zdradę, cuchnęło zaprzaństwem, sztandary - jak rękawiczki - z królewskich wywracały się na czarne, ordery były z gwintem, jak karki odrąbane, ze złocistych zaś trąb nie surmy buchnęły bojowe, lecz śmiech stryjowski, jak grzmot rżący mu na pohybel. Ryknął król głosem studzwonnym, krzyczał wojska - niech go lancami bodą, aby przebudzić! - Uszczypnijcie!! -domagał się ogromnym głosem, to znów: - Jawy!! Jawy!!! - daremnie jednak: więc znowu ze snu króloburczego, przedawczykowskiego silił się w tronowy, ale namnożyło się już w nim snów jak psów, krążyły jak szczury, jedne gmachy zarażały koszmarem inne, rozbiegało się w nim półgębkiem, chyłkiem, ukradkiem, ciszkiem, nie wiadomo co, ale okropne, że nie daj Boże! Stupiętrowym gmachom elektronowym śniły się śrubki i trupki, druciki i truciki, w każdej podstacji osobistej knuła zgraja krewnych, w każdym wzmacniaczu chichotał stryj; zadrżały gmachy-strachy, sobą przerażone, wyroiło się z nich sto tysięcy krewniaków, samozwańczych pretendentów do tronu, dwulicowych infantów-podrzutków, zezowatych uzurpatorów, a chociaż żaden nie wiedział, czy jest istotą śnioną, czy śniącą, kto się komu śni, po co i co z tego wyniknie -wszyscy bez wyjątku huzia na Murdasa, aby ściąć, z tronu zdjąć, na dzwonnicy go zawiesić, na raz zabić, na dwa wskrzesić i, danaż moja dana, głowa odrąbana - i tylko dlatego nic na razie nie robili, bo się nie mogli pogodzić, od czego zacząć. I tak pędziły lawinami maszkary myśli królewskich, aż łysnęło od przepięcia płomieniem. Nie śniony już, lecz najprawdziwszy ogień zażegnął złote blaski w oknach królewskiej osoby, i rozpadł się król Murdas na sto tysięcy snów, których nic już nie łączyło w jedno prócz pożaru - i palił się długo...

 [w:] *Fantastyczny Lem. Antologia opowiadań według czytelników*,

 Wydawnictwo Literackie 2001, s. 226-234